

# W teatrze rynek producenta?

665

## Żale poznaniaka starej daty

Niedawno uczestniczyłem w pewnym gremium ludzi kulturalnych, w większości poznaniaków starej daty, żywo, od pierwszych lat powojennych interesujących się teatrem, muzyką, plastyką. Rozmówcy z rozróżnieniem wspominali poznańskie teatry, sale koncertowe i wystawy końca lat czterdziestych. Padały tytuły szczególnie atrakcyjnych premier, nazwiska zapomnianych już aktorów, reżyserów.

— Wtedy to — panie redaktorze — powiedział mi do dziś jeszcze aktywny działacz kulturalny, *rzeczywiście było na co pójść do teatru, nie to co teraz...*

Muszę się przyznać, że opinia ta mnie zaskoczyła i w takim aż stopniu zbulwersowała, że chciałem teraz podzielić się z czytelnikami refleksjami na ten właśnie temat.

Obserwujemy przecież obecnie niekwestionowany renesans teatralnego Poznania i w ogóle szerszej rzecz ujmując, artystycznego wizerunku miasta. O poznańskich premierach jak nigdy głośno jest w kraju, a w kontekście zagranicznych występów Teatru Nowego także za granicą. Wydarzenie goni wydarzenie. Ambicje repertuarowo-artystyczne zdają się sięgać zenitu. Jesteśmy właśnie po premierze „Wesela”, a przed polską prapremierą Krzysztofa Pendereckiego w Operze oraz zapowiadaną na listopad premierą „Dziadów” u Grzegorza Mrówczyńskiego w Teatrze Polskim. Kiedyż to w przeszłości tak było...

Co może najistotniejsze, że tak trudne i ambitne repertuarowo pozycje nie są tutaj wystawiane wyłącznie dla „honoru domu”. Zdają się mieć za sobą publiczność. Spróbujmy w niedzielę dostać się do Teatru Wielkiego. O biletach na „Czarną maskę” od dawna trudno nawet marzyć. Kiedy zaś niedawno poszła wieść w miasto o przyjeździe do Poznania niełatwego przecież w odbiorze i spokrewnionego z wielką teatralną awangardą

„Bread and Puppet”, trzeba było zorganizować trzeci, dodatkowy spektakl, by móc usatysfakcjonować wszystkich zainteresowanych.

W ciągu czterdziestu lat zmieniły się nie tylko aspiracje kulturalne twórców i instytucji artystycznych, zmieniły się także oczekiwania i możliwości percepcyjne — niegdyś tak tradycyjnej — poznańskiej publiczności.

— Zgoda, odpowiedział mi na to, ów kulturalny poznaniak starej daty — *Cieszy mnie renoma Teatru Nowego w świecie, podbudowuje mój lokalny patriotyzm polska prapremiera w Poznaniu światowej opery, z niecierpliwością czekam na arcydramat Mickiewicza w Teatrze Polskim. Ale przecież nie z myślą o przeciętnym odbiorcy kultury wprowadzane są do repertuaru te pozycje. Widzi pan, redaktorze, na mój gust sytuacja w teatrze jest taka sama jak w sklepach. W teatrze także obowiązuje teraz rynek producenta, a nie konsumenta. Ja mam ochotę na dobry deser, lub jakąś lekkostrawną potrawę, a oni bez przerwy serwują mi dania ostre, z przyprawami i, jak na moje duchowe potrzeby, nader ciężkostrawne. Dlaczego ja po raz czwarty mam pójść na „Wesele”, a od kilkunastu już lat nie mogę wybrać się z wnukiem do teatru, aby pokazać mu jakąś komedię Fredrowską, albo z żoną, na zabawny współczesny wodevil?*

Sądzę, że nie tylko ów cytowany tu kulturalny poznaniak starej daty zadaje sobie takie pytania. A skoro powtarzają się, należałoby chyba spróbować odpowiedzieć na nie. Dlaczego „Wesele”? Przede wszystkim dlatego, że Janusz Nyczak długo nosił w sobie ten dramat i ze swoimi przemyśleniami nad nim chciał koniecznie podzielić się z aktorami i z widownią. Żadna inna sztuka w danym momencie go nie interesowała i nie skłoniłoby go do wystawienia jej żadnej pozaartystyczne bodźce. Janusz Nyczak jest reżyserem z nazwiskiem i z dorobkiem. I jest przy tym człowiekiem wolnym, który może wybierać sobie teatry i stawiać im określone warunki.

Podobnie Janusz Wiśniewski nie zrobi przedstawienia na zadany z góry temat. Je-

go teatr plastyka funkcjonować może wyłącznie wtedy, gdy budowany jest na własnych jego scenariuszach i tylko poprzez nie jest on w stanie wypowiedzieć siebie.

Nie inaczej jest też z teatrem Ryszarda Peryta w Operze. Jego w teatrze fascynuje świat symboliki chrześcijańskiej i dyrektor Mieczysław Dondajewski doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że bez dyskusji da się on namówić na reżyserię „Requiem” Verdiego czy teatralizację „Stabat Mater” Szymanowskiego, ale nie na „Barona Cygańskiego”, czy „Trawiątę”.

W tym sensie rzeczywiście mamy obecnie w poznańskich teatrach rynek producenta. Rzecz w tym tylko, że to on właśnie jest jego wielką artystyczną szansą. Kontrapropozycja mogą być tylko przedstawienia na zadany reżyserom przez dyrekcję temat, ale będą to wtedy przedstawienia drugorzędnych reżyserów i nie zawsze do wystawianych sztuk w pełni przekonanych. Takie niebezpieczeństwo jednak istotnie w świetle reżimów oszczędnościowych reformy gospodarczej realnie istnieje. Nieporównanie korzystniejszy dla sztuki jest więc ów obecny „rynek producenta”.

Na całą sprawę można jednak spojrzeć pod innym jeszcze kątem. Odbiór sztuki, podobnie jak sama twórczość, ma teraz coraz bardziej charakter generacyjny. To, co akceptuje młode pokolenie, starsza generacja zdecydowanie odrzuca.

A właśnie młodzież stanowi obecnie zdecydowaną większość widowni poznańskich instytucji artystycznych. Publiczność teatralna Poznania, to głównie ludzie młodzi, ale drugą najlicniejszą grupą wiekową są właśnie ci kulturalni poznaniacy starej daty. I dlatego właśnie z ich odczuciami i zapotrzebowaniami kulturalnymi chciałbym podzielić się na łamach „Głosu” z dyrektorami poznańskich instytucji artystycznych. Po premierze „Wesela” w dniu premiery „Czarnej maski” a przed pierwszymi przedstawieniami „Dziadów”...

OLGIERD BŁAŻEWICZ